

# VINCE CARTER

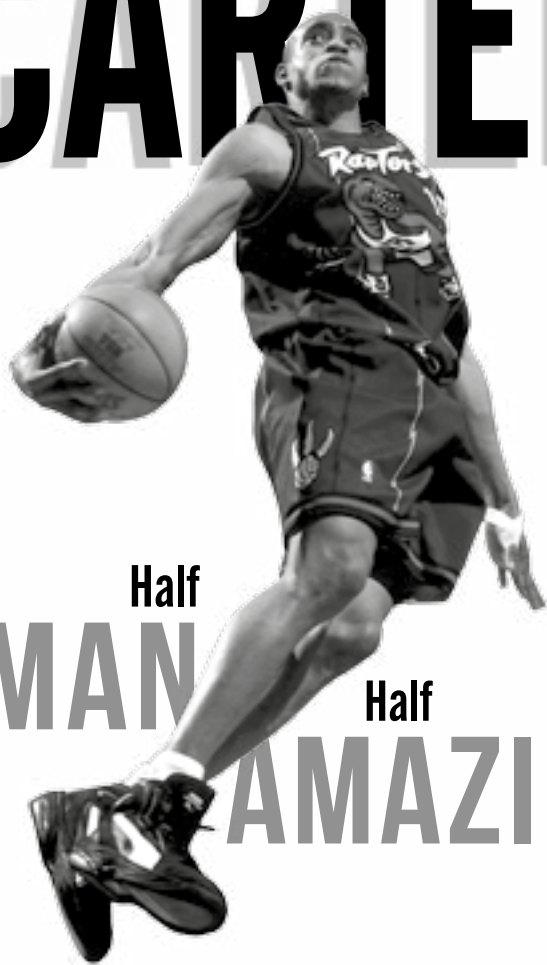


Half  
**MAN** Half  
**AMAZING**

T O M A S Z   G A W Ę D Z K I



V I N C E  
**CARTER**



Half  
**MAN** Half  
**AMAZING**

T O M A S Z G A W Ę D Z K I



Copyright © Tomasz Gawędzki 2022  
Copyright © Wydawnictwo ARENA 2022

REDAKCJA

*Mirosław Winiarczyk*

KOREKTA

*Anna Kendziak, Marek Chadziński*

OPRACOWANIE TYPOGRAFICZNE I SKŁAD

*Łukasz Sobczyk*

OKŁADKA

*Łukasz Kosek (www.instagram.com/max.kosek)*

FOTOGRAFIA NA I STRONIE OKŁADKI

*Bill Baptist/NBAE via Getty Images*

GRAFIKI WEWNĄTRZ KSIĄŻKI

*Darek Jankowicz/AOM Customs*

**All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.**

Niniejsza książka ani żadna jej część (tekst, rysunki, zdjęcia etc.) nie ma prawa być przedrukowywana, reprodukowana, powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie. Publikacja nie może też być odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autora dzieła i wydawcy. Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce.

**Drogi Czytelniku!**

Ta książka jest wynikiem nakładu pracy autora, zespołu redakcyjnego, wydawniczego oraz grafików, dlatego prosimy:

- ♦ uszanuj zaangażowanie tych ludzi oraz poświęcony czas na przygotowanie publikacji,
- ♦ nie udostępniaj książki innym w nielegalny sposób,
- ♦ nie udostępniaj w postaci e-booka,
- ♦ cytując fragmenty – nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy i życzymy przyjemnej lektury!

Team ARENA

Wydanie I, Kraków 2022



ISBN: 978-83-67246-02-6

© 2020 Wydawnictwo ARENA  
ul. Borkowska 9/39, 30-438 Kraków  
e-mail: kontakt@wydawnictwoarena.pl  
www.arenasklep.pl

## Od autora

Dziwne, że Polak pisze książkę o amerykańskim sportowcu, prawda? Jeszcze dziwniejsze jest to, że pisze ją Polak, który nigdy nie widział go w akcji na żywo z wysokości trybun. Pisze ją natomiast Polak, który wychował się na NBA transmitowanej w polskiej telewizji od początku lat 90., który chłonął wszystko, co było w Polsce dostępne w tamtym czasie: transmisje, magazyny poświęcone NBA, a także prasę – najpierw głównie „Magic Basketball” oraz „Probasket”, a w późniejszych latach i czasach większej dostępności ze względu na znajomych w USA: „Sports Illustrated”, „New York Times”, „Slam” i jeszcze kilka innych. W tak zwanym międzyczasie zacząłem również regularnie oglądać ESPN oraz TNT, miałem wszystkie League Passy, a do tego dochodziły mecze pokazywane w Polsce już przez Canal+.

Zacząłem oglądać NBA w 1991 roku, więc załapałem się na pierwszy mistrzowski tytuł Chicago Bulls oraz niezrównanego Michaela Jordana. Wielkim fanem jednak nie byłem – podziwiałem, szanowałem, naśladowałem, w pewnym momencie nawet też chciałem „być jak Mike”, lecz bez przesady. Nie pamiętam w sumie do końca, jak to się stało, ale sympatyzowałem z New York Knicks. Pat Ewing, Charles Oakley, Anthony Mason i John Starks skradli moje serce. Później Larry Johnson, Latrell Sprewell i Alan Houston. Jeszcze później pojawiła się moja miłość do 76ers, a konkretnie od kiedy wybrali w Drafcie '96 Allena Iversona. I miłość ta trwa do dziś. „Sir” Charlesa z Filadelfii też pamiętam, ale to AI był i jest jednym z najlepszych graczy w historii NBA w moim prywatnym rankingu. Jednym z bohaterów moich młodzieńczych lat jest także Vince Carter.

Kiedy VC wszedł do ligi z Draftu '98, to – szczerze przyznam – nie spodziewałem się gracza takiego formatu. Carter w swoim debiutanckim sezonie z miejsca został liderem drużyny i najlepszym w statystykach punktowych, a jego wysokie loty nad obręczami zachwyciły nie tylko Amerykę, lecz również cały świat. Atletyzm, energia, widowiskowość – na tym opierali swoją grę Toronto Raptors od momentu, kiedy na parkiety wkroczył Vince. Szybko zyskał wielką popularność i sprawił, że kibice koszykówki zaczęli kojarzyć, iż Raptors są z Kanady, a nie USA. To właśnie on i jego kuzyn Tracy McGrady w pewnym momencie stali się twarzami ligi, wypełniając pustą lukę po odejściu na emeryturę wielkiej legendy – Michaela Jordana.

Słynny Slam Dunk Contest z udziałem Cartera, a potem jeszcze bardziej słynny wsad nad Frederikiem Weisem podczas Igrzysk Olimpijskich w 2000 roku w Sydney to dwa naprawdę wielkie momenty w karierze Vince'a, ale także dwa wielkie momenty, które na stałe wpisały się w historię koszykówki. Ten facet potrafił porwać tłumy swoimi paczkami i zadziałać na wyobraźnię młodych ludzi, którzy podobnie jak ja jarali się basketem zza oceanu.

Vince Carter był po prostu niesamowity. Zastanawiano się, czy w ogóle jest człowiekiem, aż w końcu przyłgnał do niego jeden z wielu przydomków obok „Vinsanity” i „Air Canada”: „Half-Man, Half-Amazing” („W połowie człowiek, w połowie niesamowity”). Głupio to nawet tłumaczyć na polski, bo traci sens. Każdy, kto pasjonował się kiedyś i wciąż śledzi NBA, wie o kim mowa.

Dlatego nie zastanawiałem się długo nad tytułem tej książki. Od początku wiedziałem, że jeśli kiedyś uda mi się spełnić jedno z marzeń i napisać o NBA, a nie tylko wydać coś na ten temat, to publikacja ta będzie miała właśnie taki tytuł. Vince Carter sam mnie do tego niejako sprowokował, bo powiedział „dość” i zszedł z parkietu po 22 latach. Nikt do

tej pory nie grał w NBA tak długo jak on. Śledziłem całą jego karierę, a może lepiej napisać – byłem świadkiem jego przygody z koszykówką. Kiedy w czerwcu 2020 roku zapowiedział, że kończy z zawodowym graniem, zdałem sobie sprawę, że to kres pewnej ery. W momencie, kiedy ogłosił oficjalnie zakończenie kariery, skończyła się pewna epoka – nie ma już żadnego aktywnego zawodnika, który został wybrany w Drafcie w latach 90. Byłem z nim od pierwszego dunku w Toronto do ostatniego rzutu w Atlancie. I o tym wam teraz opowiem...

*Tomasz Gawędzki*





# ROZDZIAŁ I

**UFO, Dr J. i „Air Canada”**







## **DAYTONA BEACH (FLORYDA), STYCZEŃ 1977**

Kiedy Vince Carter przyszedł na świat 26 stycznia 1977 roku, Floryda zmagiała się akurat z „zimną falą”, która nawiedziła ten obszar. Odnotowano tam wtedy najdziwniejsze zjawiska pogodowe w historii. Śnieg w tym rejonie był i wciąż jest czymś niezwykłym. Zimny front, wysokie ciśnienie, rzęsiście ulewy, rekordowo niskie temperatury, zamiecie śnieżne – to wszystko spowodowało wielkie spustoszenie szczególnie dla tych, którzy zajmowali się uprawą owoców cytrusowych, z czego słynął także region Daytona Beach.

To właśnie w takich okolicznościach przyrody Vincent Carter gnał do szpitala Halifax ze swoją żoną Michelle, która właśnie zaczynała rodzić. Lokalna gazeta „Daytona Beach News Journal” ostrzegła wówczas na swoich łamach, żeby nie wychodzić z domu bez potrzeby, bo zapowiada się „arktyczne piekło”. Tu jednak potrzeba była i to nie była jaka. Carter senior dowiózł małżonkę na miejsce bez szwanku i w jednym kawałku – nie ma żadnej niesamowitej historii związanej z rodzinami ich potomka. Niesamowite rzeczy zaczęły się jednak dzieć nieco później...

Kiedy szczęśliwi rodzice opuszczali mury szpitala wraz z maleństwem, zaczęła ich pracownica administracji, prosząc, by wypełnili wymagane do wypisu dokumenty. W papierach widniała pusta rubryka z imieniem dziecka. Ojciec chciał, by syn nazywał się tak samo jak on, natomiast matka miała inną propozycję – chciała dać pierworodnemu na imię Lamar.

W końcu obydwójce zdecydowali, że maluch będzie się nazywał Vincent Lamar Carter. Pusta rubryka została w końcu uzupełniona i można było wracać do domu.

Pierwszą rzeczą, jaką ojciec włożył do łóżeczka swojego syna, wcale nie był pluszowy miś tudzież inna zabawka – to była gumowa mała piłka do koszykówki. Kiedy Vince nauczył się siadać, zaczął trzymać ją w rękach i często się nią bawił. Uwielbiał ją do tego stopnia, że kiedy pewnego razu się zgubiła, płakał przez cały dzień. Dopiero gdy się odnalazła, uspokoił się i na jego twarzy pojawił się szeroki, szczery dziecięcy uśmiech. Ten mały, okrągły, pomarańczowy przedmiot sprawił, że chłopiec rozwijał się szybciej od swoich rówieśników w okolicy. Często można było zobaczyć, jak dwulatek kożłuje nieporadnie piłkę na podjeździe przed domem, bawiąc się ze swoim tatą, który dbał o rozwój fizyczny syna. Carter senior był trenerem koszykówki, więc naturalnie chciał, żeby jego syn zainteresował się dyscypliną sportu, którą on sam uwielbiał. „Sadzał go na łóżku w sypialni, podpierał go poduszkami i rzucał do niego piłkę. Chciał, by Vince od małego miał obycie z piłką, żeby później nie miał problemu z jej opanowaniem. Ja natomiast zawsze bałam się, że spadnie z łóżka i zrobi sobie krzywdę. On jeszcze nie potrafił wtedy samodzielnie i stabilnie siedzieć!”<sup>1</sup> – wspominała Michelle. Mama pilnowała z kolei, aby od najmłodszych lat synek poznawał otaczający go świat, uczył się pisać, liczyć i czytać – w sumie nic dziwnego, była wszak nauczycielką.

Dzieciństwo Cartera w zasadzie było prawdziwą sielanką do siódmego roku życia. Wtedy już koszykówka była jego wielką pasją. Spędzał godzinami czas przed telewizorem, oglądając powietrzne popisy Juliusa Ervinga, który „latał” wówczas najwyżej w całej NBA. To właśnie „Dr J.” wywarł na młodzieńcu największe wrażenie i kiedy Vincent wychodził pograć w kosza na

---

<sup>1</sup> Fragment wywiadu, jakiego Michelle Carter-Scott, mama Vince’a Cartera, udzieliła serwisowi [www.tennessean.com](http://www.tennessean.com) w 2017 r.

okoliczne boiska, zawsze starał się naśladować jego najlepsze zagrania. Zachwycał się umiejętnościami „Doktora” i zdolnością do „zawieszenia” się w powietrzu o kilka sekund dłużej niż ktokolwiek inny na boisku. Kopiował wiernie jego ruchy i wyobrażał sobie, jak szybuje w kierunku obręczy, doskonale kontrolując ciało. Jego ruchy były tak dzikie, nieokiełznane i niespotykane, że przyjaciele nadali mu ksywę „UFO”.

Marzył wtedy, że będzie pakował piłkę do kosza tak samo wspaniale jak jego idol albo jeszcze lepiej. Powtarzał przez cały czas swoim kolegom, że kiedyś będą oglądać w telewizji, jak fruwa nad obręczami w NBA. Niektórzy się z niego śmiali, dogryzając, że najpierw musi urosnąć, ale on miał to w nosie i codziennie powtarzał swój rytuał: szkoła, oglądanie meczów oraz akcji „Doktora” w TV, wizyta na boisku i oddawanie setek rzutów. Czasami zabierał ze sobą swojego młodszego brata Chrisa, który uwielbiał biegać po boisku i podawać mu piłkę.

Wracając do sielanki... Pewnego dnia, kiedy Vincent wrócił do domu z boiska, rodzice ostro się kłócili. Wziął wówczas brata za rękę i obaj zamknęli się w pokoju, by nie słyszeć wrzasków. Gdy obudził się następnego dnia, wszystko było po staremu – tata i mama szykowali się do pracy, krzątając się z uśmiechem po kuchni i popijając poranną kawę. Vince uznał, że to tylko jakaś sprzeczka, która zdarza się pomiędzy dorosłymi. Przez cały dzień nie myślał o wydarzeniach dnia poprzedniego, aż do momentu powrotu ze szkoły. Miał zamiar szybko coś zjeść, zabrać piłkę i iść na boisko, ale rodzice poprosili go, by został w domu. Zanosilo się na poważną rozmowę, bo mama i tata nie byli już tak uśmiechnięci jak o poranku. Rodzice oznajmili swojemu starszemu synowi, że się rozwodzą. Dla 7-latka była to informacja, której nie potrafił należycie przyswoić i zrozumieć, lecz wiedział, że dzieje się coś złego. Usłyszał, że mamusia i tatuś nadal bardzo się kochają, ale od teraz będą mieszkali osobno. Na rozprawie rozwodowej sąd

zdecydował, że opieka nad synami zostanie przyznana matce. Właśnie wtedy młody Carter uznał, że nie chce, aby kiedykolwiek i ktokolwiek zwracał się do niego Vincent – od tamtej pory był już tylko i wyłącznie Vincem Carterem.

Jakiś czas później Michelle Carter została panią Carter-Robinson, wychodząc za mąż za Harry'ego Robinsona, który również był nauczycielem. Szybko nawiązał on silną więź z chłopcami i starał się im pokazać, jak wiele ciekawych rzeczy można robić poza sportem. Ich relacja przerodziła się w przyjaźń i chłopcy zaczęli go traktować jak swojego prawdziwego ojca. Kiedy Vince mówił o tacie, miał na myśli Harry'ego.

Ojczym był członkiem amatorskiego zespołu muzycznego, zabierał dzieciaki na próby i to właśnie wtedy Vince zainteresował się grą na saksofonie, próbował swoich sił na trąbce, a także uczył się gry na perkusji. Ten ostatni instrument spodobał mu się najbardziej, bo walczyć w bębny, mógł spożytkować swoją energię na coś kreatywnego i rozwijającego zdolności manualne. Swój czas wolny od koszykówki pożytkował również na grę w futbol. „Robiłem to dla zabawy. To było coś innego niż koszykówka. Mogłem sobie pobiegać, zmierzyć się czasem w ostrych starciach z kolegami, co pozwoliło mi się nauczyć, jak twardo stawiać opór. Przydało mi się to później na zawodowych parkietach” – przyznał kiedyś w jednym z wywiadów dla ESPN, opowiadając o swoich młodzieńczych latach.

Nic jednak nie mogło się równać z koszykówką, którą VC wręcz ubóstwiał. To była największa pasja w jego życiu. Będąc zaledwie nastolatkiem, wiedział, co chce osiągnąć. Jego cel był jasno określony – chciał zostać koszykarzem.

Godziny spędzone na betonowych boiskach w Daytona Beach przyniosły w końcu rezultat. Kiedy Carter miał 11 lat, wreszcie udało mu się dotknąć obręczy. Mierzył wówczas około 152 cm. Rok później zrobił kolejny krok naprzód – gdy nieco podrośł, zapakował piłkę do kosza jak Dr J. Koledzy, którzy

to widzieli, nie mogli wprost uwierzyć, jak ktoś w tym wieku, o takim wzroście może wykonać dunk?! Może, jeśli jest zdecydowany to zrobić. Poza tym już wtedy Vince wyraźnie różnił się od swoich rówieśników – był od nich wyższy, mocniej zbudowany, a pod rękawami jego koszulki można było zauważyć wyraźnie zarysowane kształty mięśni. Jego styl gry był oparty na sile i dynamice. Codziennie przed snem wykonywał przynajmniej setkę ćwierćskoków, aby jeszcze bardziej poprawić swój wyskok.

Vince szybko stał się popularny wśród lokalnego środowiska koszykarskiego – chętnie zapraszano go do udziału w meczach w różnych częściach miasta, zachwycał wszystkich swoimi umiejętnościami. Nagle stał się popularny w Daytona Beach i coraz większe rzesze ludzi przychodziły zobaczyć jego niesamowite popisy. Kiedy na boisku był Carter, to ludzie wiedzieli, że zaraz może się wydarzyć coś niesamowitego. Vince nie robił już wtedy wsadów od przypadku do przypadku, tylko pakował regularnie po kilkanaście razy w każdej rozgrywce. Wszyscy go znali i podziwiali, dopingując do jeszcze efektywniejszych lotów. „Czułem się jak Dr J., a o to mi zawsze chodziło” – podkreślał.

Już wówczas Vince pokazywał, jak bardzo dojrzała jest jego gra. Liczyły się nie tylko efektywne dunki – chciał mieć wpływ na wszystko, co dzieje się na boisku. Miał doskonały przegląd pola i potrafił podać do kolegi w najmniej spodziewanym momencie, ustawiał obronę i zarządzał, jaką akcję mają rozegrać. Gdy przychodził oglądać go wujek Oliver Lee, Vince spinał się jeszcze bardziej i chciał się pokazać z jak najlepszej strony. Lee na początku lat 80. był gwiazdą uczelni Marquette i został wybrany w Drafcie '81 przez Chicago Bulls, jednak ostatecznie nie udało mu się podpisać kontraktu z Bykami i wrócił w rodzinne strony, gdzie i tak uznawano go za gwiazdę i przez długi czas mówiono o nim jako o kimś, kto

jako pierwszy z Daytona Beach „prawie zagrał w NBA”. Rodzice Vince’a chcieli, żeby grał w kosza, ale podawali mu zawsze przykład wujka i starali się tłumaczyć, że jak coś pójdzie nie tak na gruncie sportowym, musi mieć wyjście awaryjne. Przekonywali, że edukacja jest w życiu bardzo ważna, i wpajali mu do głowy, że im lepiej będzie się uczył, tym lepsze studia będzie mógł podjąć w przyszłości. Nie trzeba było mu tego dwa razy powtarzać – Carter wziął sobie mocno do serca rady mamy i Harry’ego i zatopił się w książkach, choć... nie był tak zdolnym uczniem jak jego brat Chris, bo jednak koszykówka pochłaniała mu większość czasu.



## **MAINLAND HIGH SCHOOL, 1991**

Całkiem niezłe przygotowany fizycznie i posiadający już jakieś tam umiejętności koszykarskie młodzieniec stanął wraz z rodziną przed wyborem szkoły średniej. Ostatecznie zapadła decyzja, że będzie uczęszczał do Mainland High School.

W pierwszym roku nauki, a zarazem w pierwszym koszykarskim sezonie na poziomie szkół średnich, Vince Carter z miejsca stał się gwiazdą drużyny. Jego pierwsze mecze w Mainland sprawiły, że hala pękała w szwach i wszyscy chcieli zobaczyć tego chłopaka na żywo. Rywale kompletnie sobie z nim nie radzili i trenerzy innych szkolnych drużyn ponoć umówili się, że wszystkie ekipy będą go podwajać przez cały mecz. Poczta pantoflową plotka dotarła do VC i ten tak się wkurzył, że w kolejnym meczu pokazał, że można go podwajać, a on i tak „opuści ziemię”. W jednym z meczów Carter wjeżdżał na wprost kosza, startując zza linii za trzy. Planował

wykonać finger-roll<sup>2</sup>, ale kiedy zorientował się, że przeciwnicy zostawili mu za dużo wolnej przestrzeni, zmienił zamiary. Przyspieszył, wyszedł w powietrze i ku swojemu zdumieniu wykonał soczystą paczkę! Trybuny aż się zatrzęśły od wrzawy, a pozostałych dziewięciu graczy na parkiecie stało z rozdziawionymi ustami, nie do końca wierząc w to, co przed chwilą zobaczyli. Wśród tłumu zapanowała wielka ekscytacja, bo dunk Cartera, biorąc pod uwagę poziom rozgrywek, był spektakularny. Tak, to chyba najlepsze określenie tego, co się wtedy wydarzyło. Sędzia zawodów musiał przypomnieć graczom, niejako „wybudzając” ich z osłupienia, że mecz nadal trwa i muszą rozpocząć grę. Wśród widowni lotem błyskawicy rozszedł się szum, zrobiło się dziwne poruszenie, ludzie coś sobie szeptali, aż w końcu wszyscy jednym chórem zaczęli skandować głośno: „Did you see... VC?!<sup>3</sup>”. Podchwycił to komentator zawodów i kilka razy wykrzyczał pytanie, a wtedy powtarzała już za nim tubalnie cała hala. Można było poczuć ciary.

Żeby ochłonąć trochę od tego koszykarskiego zamieszania wokół siebie, Vince szukał innego zajęcia. Wówczas okazało się, że ze swoim wyskokiem może nie tylko celnie rzucać do kosza, lecz także z powodzeniem zdobywać punkty jako... siatkarz. Po kilku treningach z drużyną trenerzy uznali, że „skoczek” z takimi warunkami fizycznymi bardzo zwiększy ich szansę w rywalizacji w szkolnej lidze siatkarskiej. Tym sposobem Carter został nie tylko członkiem, ale i kapitanem ekipy siatkarzy swojej szkoły. Znajdował również czas, by w orkiestrze reprezentacyjnej szkoły grać na altówce, barytonie oraz saksofonie, bo to go odprężyło i pozwalało zapomnieć o sporcie. Szybko został mianowany jako nowy drum major, który zapodawał werble na bębnach. Miał wprawę, bo jak pisałem już wcześniej, z perkusją

<sup>2</sup> Jest to lay-up, ale zawodnik zamiast kończyć akcję o tablicę, to „rolluje” piłkę do kosza, delikatnie podbijając ją w górę końcówkami palców.

<sup>3</sup> W wolnym tłumaczeniu: „Czy widzieliście, co zrobił Vince Carter?!?”



też sobie niezłe radził. Ale jak wspominali z kolei jego szkolni koledzy w wywiadach po latach, Vince'a pochłaniało coś jeszcze – pisał sonety. To jest prawdziwa bomba!

Po wakacjach Carter wrócił do szkoły głodny koszykówki. Latem rozegrał co prawda kilka meczów na playgroundach w Daytona Beach, dając rozrywkę miejscowym i turystom, ale nie przesadzał za bardzo z treningami. Cieszył się słońcem, spędzał czas z przyjaciółmi i robił to, co zwykle robią dzieciaki w jego wieku. Przed startem rozgrywek był jednak od razu w takiej dyspozycji, jakby swój ostatni poważny mecz rozegrał raptem dwa dni, a nie dwa miesiące wcześniej.

Vince czuł, że może zrobić niezły użytek ze swojego „daru do latania”, więc poświęcał mu sporo czasu na treningach. Doskonalił wsady, pakując z najbardziej dziwnych pozycji, jakie da się wykonać. Kopiował legendarne wsady Juliusa, Michaela Jordana czy Dominique'a Wilkinsa. Żeby jednak nie było – szlifował też inne elementy gry. Postawił nacisk na drybling, krótkie i długie podania, a także rzuty lewą ręką. Chciał mieć pewność, że kiedy obrona go do tego zmusi, zawsze będzie ją mógł zaskoczyć z lewej strony kosza. Tego nie będą się spodziewać, więc musiał mieć takiego asa w rękawie. I ćwiczył!

Carter górował nad swoimi rywalami niemal za każdym razem, aż w końcu jako drugoroczniak na poziomie liceum zdobywał średnio po 20 punktów. Kumpie mówili, że włączył tryb „UFO”, jak go nazwali w dzieciństwie. Miał wtedy jakieś 182 cm wzrostu, a to też robiło przewagę. Spory wpływ na taki stan rzeczy miała również decyzja trenera Charlie'go Birkenhoffa, który przesunął swojego młodocianego gwiazdora z pozycji shooting guard na small forward. I co? I było pozamiatane. Dominacja Vince'a nad rywalami na tamtej pozycji była taka, że w krótkim czasie jego statystyki znacząco poszły w górę. Nie dość, że był najlepszym strzelcem drużyny ze średnią 25 oczek, to jeszcze dodawał przynajmniej 11 zbiórek w każdym spotkaniu. Ekipa

Buccaneers ukończyła sezon zasadniczy z imponującym bilansem zwycięstw do porażek 30-2<sup>4</sup>.

Ostatni rok liceum był dla Cartera niezwykle pracowity. Cały czas musiał być „pod prądem”, bo wciąż dając show, robił swoje na boisku, a jeszcze – jak pamiętacie – przewodził orkiestrze, pisał poezję do szuflady oraz... muzykę. Wciąż odkrywał w sobie nowe zdolności i pasje. Z kolei osoby odpowiedzialne w USA za rekrutację młodych zawodników na studia odkryły, że ten chłopak może w krótkim czasie odmienić losy ich uczelnianej drużyny koszykarskiej, dlatego w 1995 roku, w ostatniej klasie liceum Vince Carter był najchętniej rekrutowanym zawodnikiem z liceum w całych Stanach Zjednoczonych. Chciało go u siebie kilka znaczących uczelni w kraju.

Eksperti i fachowcy spodziewali się i nawet to przewidywali, że Vince wybierze uczelnię Florida State University. Wszystko na to wskazywało, ale... stało się zupełnie inaczej. Carter postanowił bowiem iść za głosem serca. Podziwiał Ervinga, Jordan też był jego idolem, więc uznał, że... wyjeżdża z Florydy. Wybrał możliwość gry dla North Carolina University.

Vince zaczynał podążać ścieżką Michaela Jordana. Co prawda legendarny trener Dean Smith, niestety nieżyjący już, członek Basketball Hall of Fame, nie był zwolennikiem stylu gry, który prezentował Carter, to uznał przekornie, że spróbuje go okiełznać i odpowiednio ukierunkować. To był materiał na naprawdę świetnego gracza i on doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Smith trenował MJ-a na tym samym uniwersytecie i zdobył z nim mistrzostwo NCCA, więc wiedział, o czym mówi. Carter i Jordan mieli też inną wspólną przypadłość, opinię czy... w sumie sam nie wiem, jak to nazwać. Może i podziwiano ich umiejętności, styl gry, determinację

<sup>4</sup> [www.mainlandhighschool.org/athletics/winter-sports/basketball-boys](http://www.mainlandhighschool.org/athletics/winter-sports/basketball-boys).

oraz wolę zwycięstwa, ale nikt nie traktował ich tak naprawdę serio i nie zdawał sobie do końca sprawy, jak są świetni, dopóki nie wdarli się przebojem na parkiety NBA.



## PÓŁNOCNA KAROLINA, CHAPEL HILL, 1995

Vince nie miał pojęcia, jak zostanie przyjęty na uczelni, w nowym dla niego miejscu i środowisku studenckim. Obawiał się swojego przyjazdu do Chapel Hill i tego, jak poradzi sobie z presją wielkich nazwisk, które nosiły błękitną koszulkę przed nim. Wciąż rozmyślał o „Air” Jordanie, Jamesie Worthym czy Samie Perkinsie. Jednak kiedy wreszcie zjawił się na kampusie, trafił na pierwsze strony gazet. To chyba wtedy po raz pierwszy prasa użyła zwrotu „Vinsanity”, pisząc o tym, że Carter będzie grał dla Tar Heels. „UFO wylądowało w Północnej Karolinie” – głosił nagłówek uczelnianej gazety „Daily Tar Heel” założonej w 1893 roku<sup>5</sup>.

Vince był wszędzie. Nie dało się wówczas nie wiedzieć, że będzie grał dla Północnej Karoliny. Ciężko było mu się skupić na nauce, co jest tak ważne na samym początku pierwszego roku. Szum wokół niego był tak duży, że pewnego dnia tuż na początku pierwszego semestru VC zobaczył w telewizji niecodzienny obrazek. Jeśli można w jakiś sposób opisać to słowami, to go wciągnęło. Gdy przerzucał kanały w telewizji, zatrzymał się na dłużej przy stacji MTV i w jednym z teledysków zobaczył, że grupa tańczących dzieciaków ubrana jest w błękitne koszulki z napisem UNC #15. Dokładnie w takiej miał grać na uczelni, ale nawet nie dostał jeszcze swojej! Vince był wszędzie.

<sup>5</sup> [www.dailytarheel.com](http://www.dailytarheel.com).

Carter nie miał wcale łatwego wejścia do zespołu, który właśnie stracił dwie wielkie gwiazdy z poprzedniego sezonu. Jerry Stackhouse i Rasheed Wallace, dwójka potwornie utalentowanych sophmores<sup>6</sup>, którzy doprowadzili Tar Heels do Final Four NCAA, nie mogli w żaden sposób umknąć uwadze ludzi z NBA. Zgłosili się do Draftu i zostali wybrani odpowiednio z „trójką” i „czwórka” – „Stack” powędrował do 76ers, a „Sheed” do Bullets. To właśnie w ich buty niejako miał wejść Vince Carter i spróbować nawiązać do ich osiągnięć. Tego od niego oczekiwano. Na szczęście okazało się, że miał wsparcie – wraz z nim w zespole znalazło się dwóch też nieźle reklamowanych kożaków: niejaki Antawn Jamison oraz Ademola Okulaja – urodzony w Niemczech, ale pochodzenia nigeryjskiego. Plan zakładał, że panowie szybko dogadają się między sobą na parkiecie. Miejsce Wallace’a miał zająć jego dotychczasowy zmiennik Serge Zwikker, a Jeff McInnis oraz „włoski Amerykanin” Dante Calabria mieli być idealnym uzupełnieniem składu, aby powalczyć o coś więcej, a na początku sezonu spróbować przedłużyć serię zwycięstw trenera Deana Smitha z 20 do przynajmniej 26.

VC odpalił od razu i miał bardzo mocne wejście do zespołu, zachwycając swoimi lotami. Szybko jednak okazało się, że rywale wyciągają wnioski z porażek i mają nowy pomysł na krycie Cartera. Kiedy Heels weszli w okres meczów z czołówką ACC<sup>7</sup>, Vince sobie nie radził – został „przeczytany”. Przeciwnicy oglądali filmy z innych meczów i doszli do wniosku, że niemal zawsze dunkuje wtedy, kiedy wybiera sobie na „ofiara” słabszego przeciwnika, na ogół również niższego od siebie. Dlatego dominował na początku rozgrywek i nikt nie wiedział, jak sobie z nim radzić. Kiedy został rozszyfrowany, rywale podwajali go niemal w każdej akcji, odcinali możliwość

---

<sup>6</sup> Drugoklasistów.

<sup>7</sup> Atlantic Coast Conference – Konferencja Wybrzeża Atlantyku rozgrywek uczelnianych w USA.

penetracji pod kosz, zamykali opcję wjazdu od linii końcowej. Dodatkowo Vince kiepsko spisywał się w obronie, przegrywał na tablicach i w ogóle wyglądał jak zahukany pierwszorzecznik, któremu odbiła sodówka związana z popularnością i zapomniał, jak gra się w koszykówkę.

Carter był bezsilny, a trener Smith nie miał zamiaru na to dłużej patrzeć. Vince trafił na ławkę, jego miejsce do końca sezonu w pierwszej piątce zajął zaś Okulaja, który spisywał się rewelacyjnie. Przy okazji Jamison grał tak świetnie, że został wybrany ACC Rookie of The Year<sup>8</sup>, podczas gdy on zdobywał zaledwie 7,5 punktu na mecz, grając średnio 18 minut. Carter nie był załamany – był wściekły! Tar Heels odpadli po drodze z rozgrywek ACC oraz NCAA, co było wielkim rozczarowaniem, podobnie jak gra Vince'a – w przegranym meczu z Texas Tech w ramach NCAA Carter zagrał 17 minut i zdobył 12 punktów (na 7 rzutów). To on miał błyszczeć, to on miał być gwiazdą, to o nim mieli wszyscy mówić i przyznawać mu nagrody. Coś poszło nie tak i należało to zmienić.



### CHAPEL HILL, 1996

Nieudany sezon debiutancki okazał się dla Cartera zimnym prysznicem, ale także – jak to mawiają – szczęściem w nieszczęściu. Latem 1996 roku postanowił nie wracać do domu po zakończonym roku akademickim, tylko zostać na kampusie i pracować nad swoją grą. Skoro nie zawsze będzie mógł wjeżdżać pod kosz i ładować gościom nad głowami, to musi zacząć na serio przykładać się do swojego rzutu z półdystansu, a tak już zupełnie na serio

---

<sup>8</sup> Nagroda dla najlepszego debiutanta sezonu w ACC.

zacząć wykorzystywać linię rzutów za trzy. Trzeba było dodać coś nowego do swojego repertuaru, aby w kolejnym sezonie rywale nie mieli już z nim takiej łatwej przeprawy.

Carter spędzał kilka godzin dziennie na sali, oddając rzuty, potem szedł na siłownię i znowu wracał na parkiet. I tak niemal dzień w dzień przez całe wakacje. Kiedy jego kumple się bawili, nie wylewając za kołnierz, korzystając z uroków wakacji i plaż w Daytona Beach, on wylewał z siebie siódme poty, by wyeliminować mankamenty i udoskonalić umiejętności. Oprócz treningów strzeleckich i przerzucania ciężarów Vince szlifował jeszcze jeden element – grę w obronie. Wiedział, że w ofensywie sobie poradzi, ale musiał mieć jeszcze asa w rękawie. Całkiem nieźle wyszkolił się w grze defensywnej i nauczył kilku sztuczek z cyklu tych, których arbitrzy nie widzą, a trenerzy bardzo doceniają. Jego łokcie pracowały pełną parą i już nie było go tak łatwo przepchnąć w grze jeden na jeden. Wskoczył pułap wyżej i stawał się coraz lepszy.

Wakacje upłynęły i trzeba było wracać do zadań. Na pierwszych zajęciach coach Smith nie mógł uwierzyć, gdy zobaczył Cartera. Był wyższy, miał więcej mięśni, a w czasie gier treningowych trafiał praktycznie z każdej klepki, zaprzestając chwilowo wsadów. Trener był nim zachwycony i po latach przyznał w jednym z wywiadów, że „ten kiepski sezon jako rookie pozwolił mu się stać lepszym zawodnikiem”<sup>9</sup>.

Smith wpadł na pomysł, żeby nieco zamieszać w składzie. Wymyślił sobie, że pierwszorocznik Ed Cota jest już gotowy, aby zostać ich podstawowym rozgrywającym. Cartera z kolei przesunął na pozycję niskiego skrzydłowego, żeby mógł należycie wykorzystać swoje warunki i nowe możliwości rzutowe. Shammond Williams w takiej sytuacji mógł wskoczyć do rotacji na dwie pozycje, będąc zmiennikiem dla Coty oraz Cartera, jeśli zajdzie taka konieczność.

<sup>9</sup> [www.dailytarheel.com/article/2019/03/vince-carter-mini-feature0326](http://www.dailytarheel.com/article/2019/03/vince-carter-mini-feature0326).

Vince złapał luz na nowej pozycji i spisywał się bardzo dobrze. Wykorzystywał to, że gra bliżej kosza, i gromadził nie tylko punkty, lecz również zaczął całkiem solidnie zbierać. W porównaniu do pierwszego sezonu rzucał 13 punktów i notował 4,5 zbiórki na mecz, będąc zaledwie trzecią opcją strzelecką Tar Heels za Williamsem i Jamisonem. Trzeba też pamiętać, że wciąż swoich minut gry nie zamierzał oddawać Okulaja, który był z nim w rotacji na pozycji small forward.

VC akceptował swoją rolę w drużynie i na nikogo już się nie boczył, że nie jest w centrum uwagi. Zagryzł zęby i nakręcał się jeszcze bardziej w czasie treningów, stawiając sobie coraz wyżej poprzeczkę. Chciał się rozwijać, być coraz lepszym, najlepszym. Pracował nad sobą tak mocno, że w pewnym momencie sezonu stał się najlepszym obrońcą zespołu i jednym z lepszych w całych rozgrywkach. Trener Smith był skłonny wówczas przyznać, że Carter gra tak dobrze w obronie, iż z powodzeniem mógłby kryć zawodników swojego wzrostu, a także tych sięgających ponad 200 cm.

Prezentując swoje nowe moce, Carter nie zapomniał też o starych. Znowu zaczął fruwać nad obręczami i pakować piłkę do kosza, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Jego słynne windmille<sup>10</sup> i paczki po zagraniach alley oop to było coś, co nadal porywało tłumy i sprawiło, że Carter przejmował powoli kontrolę nad grą. Znowu bawił się koszykówką tak dobrze jak za beztroskich czasów gry na boiskach Daytona Beach.

W swoim drugim sezonie w Północnej Karolinie VC poczynił znaczne postępy i, co najważniejsze, dopasował się wreszcie do systemu gry Tar Heels, podobnie jak niegdyś Michael Jordan. Wtedy wszystko zaczęło funkcjonować jak należy.

Drużyna Tar Heels wskoczyła na odpowiednie tory i szła przez rozgrywki ACC jak burza, wygrywając je i meldując się

---

<sup>10</sup> Rodzaj wsadu, w czasie którego gracz wykonuje w powietrzu „młynek” oburącz.

w Final Four NCAA. Gracze z Północnej Karoliny zanotowali po drodze kilka fantastycznych meczów, a Vince najlepiej zaprezentował się przeciwko uczelniom Cal oraz Louisville, wykonując kilka efektownych dunków i rzutów z dystansu. Tar Heels mieli nawet wielką szansę na mistrzostwo, ale trafili na świetnie dysponowaną ekipę Arizona Wildcats. Dwóch pierwszoroczników – Miles Simon oraz Mike Bibby – skradło show i po zaciętym meczu, który zakończył się ich wygraną 66-58 sięgnęli po tytuł. Carter robił, co mógł, zdobywając ponad jedną trzecią punktów swojej drużyny, lecz okazało się to niewystarczające. Znowu musiał przełknąć gorycz porażki...

Podobnie jak rok wcześniej, Vince zrezygnował z powrotu do domu na wakacje i znowu spędzał czas na kampusie uczelni, poświęcając się codziennym treningom. Podczas gry sparingowej zorganizowanej w Chapel Hill poznał chłopaka z liceum, który okazał się... jego dalekim kuzynem. Latem doszło do rodzinnego spotkania na Florydzie, z powodu którego VC specjalnie opuścił mury uczelni, i tam dowiedział się, że Tracy McGrady jest z nim spokrewniony. Nie mogli w to uwierzyć. Od tamtej pory McGrady i Carter błyskawicznie złapali dobry kontakt i często ze sobą ćwiczili, rozmawiając przy okazji o swoich rodzinnych koneksjach. Chłopcy puszczaali wodze fantazji i wyobrażali sobie, że grają w jednej drużynie i podbijają parkiety NBA. Jeszcze wtedy nie mogli mieć nawet pojęcia, że kiedyś ich marzenie się spełni...

McGrady był w liceum, Carter na studiach i wydawało się, że jeśli któryś z ich dwójki jako pierwszy trafi do NBA, to będzie to Vince. Tymczasem T-Mac, jak mówili wszyscy na McGrady'ego, po ostatnim roku liceum postanowił opuścić sobie wyższe uczelnie i od razu przystąpić do Draftu. Przed podjęciem decyzji konsultował się z Carterem, który uważał, że jeśli czuje się na siłach i wie, iż podola wyzwaniu, to niech próbuje. Tracy posłuchał kuzyna i zgłosił się do loterii draftowej. Został



wybrany z numerem 9 przez Toronto Raptors! Od tamtej pory chłopcy mieli jeden cel – zagrać razem!

Sezon 1997/1998 okazał się ostatnim dla Cartera na uczelni w Północnej Karolinie. Skoro McGrady wprost z liceum dostał się do ligi, to on jako gwiazda rozgrywek akademickich tym bardziej nie powinien mieć z tym problemu. Sam przed sobą przyznał, że to jest najlepszy moment, by spróbować swoich sił z zawodowcami. Tar Heels należeli do grona najlepszych drużyn uczelnianych w kraju, a Vince Carter nie był już postacią anonimową. Pozostawało tylko dokończyć sezon na uczelni i ruszać na podbój wielkiego świata.

Kiedy rozpoczęły się rozgrywki akademickie, ekscytacja nowym sezonem dość szybko i niespodziewanie została ostudzona, gdyż trener Smith oznajmił drużynie, że zmagają się z chorobą nowotworową. Vince i jego koledzy byli bardzo przybici tą informacją i kiedy stery przejął asystent Bill Guthridge, wyładowywali swoją wściekłość na rywalach. Trener dawał im swobodę w grze, a Carter i Jamison wreszcie dopasowali się na parkiecie idealnie, siejąc postrach w szeregach obronnych przeciwników. Carter świetnie spisywał się w defensywie, zazwyczaj pilnując i wyłączając z gry najlepszych graczy innych drużyn.

Drużyna UNC przeszła przez rywalizację w ACC niczym burza, ponosząc tylko jedną porażkę, i uzyskała dzięki temu rozstawienie z numerem jeden w rywalizacji w NCAA. W pierwszej rundzie odesłała z kwitkiem US Navy, a później rozprawiła się z drużynami z uniwersytetów z Charlotte i Michigan. Vince Carter po raz kolejny błysnął formą, będąc najjaśniejszym punktem swojego teamu zarówno w obronie, jak i w ataku. W rywalizacji z uczelnią UConn<sup>11</sup> przyćmił ich gwiazdę Ripa Hamiltona, sprawiając, że Północna Karolina znów zameldowała się w najlepszej czwórce ekip walczących o zwycięstwo w NCAA.

---

<sup>11</sup> University of Connecticut.

Tar Heels być może za szybko uwierzyli w swoją wielkość, bo na kolejnym etapie boleśnie się potknęli, dostając łupnia od ekipy z Utah w półfinale. Kolejny rok i kolejna porażka, która kończyła marzenia Cartera o tytule mistrza na poziomie akademickim. Co dalej – zostać na ostatni sezon na uczelni czy zaatakować NBA? Z takimi myślami bił się Vince po zakończeniu roku akademickiego. W podjęciu decyzji pomógł mu kolega z drużyny Antawn Jamison, który... zgłosił się do Draftu. Dwa lata niepowodzeń na poziomie NCAA skłoniły Cartera do tego, by pójść w ślady T-Maca. To był trudny wybór dla Vince'a, któremu brakowało roku do ukończenia specjalizacji z afroamerykanistyki i któremu naprawdę podobało się życie na kampusie. Poradził się jeszcze trenerów Guthridge'a oraz Smitha, zapytał o zdanie rodziców, częściowo mając nadzieję, że powiedzą mu, żeby pozostał na uczelni. Wszyscy oni byli jednak zaskakująco zgodni – nadszedł czas, aby przejść na zawodowstwo. Vince Carter postanowił, że zawalczy o spełnienie marzeń o grze w NBA!



### **NBA DRAFT, VANCOUVER, 1998**

Nadszedł 24 czerwca 1998 roku. Ceremonia loterii Draftu NBA miała się odbyć właśnie tego dnia w Vancouver w Kanadzie. Media sportowe w całym kraju informowały o tym, że Vince Carter to jedno z najbardziej gorących nazwisk w stawce, zastanawiając się jednocześnie, która z drużyn zdecyduje się na wybór „UFO” z Północnej Karoliny. Większość fachowców uważała, że numerem jeden będzie Michael Olowokandi, środkowy z University of the Pacific. To na niego ostrzyli sobie

zęby Los Angeles Clippers, którzy mieli prawo wyboru jako pierwsi. Reszta kandydatów również była mocno obserwowana przez kilka czołowych drużyn, ale nikt nie pokusił się o wytypowanie, kto gdzie trafi i w jakiej kolejności.

Kiedy światła rozblęły, a sala wypełniła się zawodnikami i członkami ich rodzin, napięcie rosło z każdą minutą. Komisarz NBA David Stern wkroczył na scenę i bez przydługich wstępów oznajmił: „Z numerem pierwszym Los Angeles Clippers wybierają Michaela Olowokandiego”. Wśród gości rozległ się szum. Jedni byli zdziwieni, inni wręcz przeciwnie. Spełniły się prognozy dziennikarzy i center nigeryjskiego pochodzenia powędrował do LA. Wszyscy oczekiwali kolejnych rozstrzygnięć.

Jako drudzy wybierali nowi członkowie NBA i gospodarze imprezy – Grizzlies. Ekipa z Vancouver nie była zachwycona postawą swojego rozgrywającego Antonio Danielsa, którego wybrano rok wcześniej z czwórką. Potrzebny był im ktoś nowy i tym kimś okazał się Mike Bibby z uczelni w Arizonie. Daniels został wytransferowany do San Antonio, w drugą stronę powędrowali – uwaga! – Carl Herrera i Felipe Lopez! W tym przypadku śmiało można powiedzieć, że tylko jedna strona tej transakcji zrobiła niezły interes. Wracając jednak do meritum – Bibby został „porwany” przez Grizzlies, a z trójką bez wielkiego dumania Denver Nuggets sięgnęli po Reafa La Frentza z Kansas. Dwa kolejne wybory Draftu były tak naprawdę sporą zagadką. Z drugiej strony było niemal pewne, że skoro do tej pory nikt nie wybrał Antawna Jamisona oraz Vince’a Cartera, to zdarzy się to właśnie teraz. Reprezentanci Północnej Karoliny byli wtedy wysoko oceniani przez fachowców i było powszechnie wiadomo, że zostaną wybrani mniej więcej z numerem 4-6. Te widelki okazały się bardzo trafne, bo Jamison z czwórką został wybrany przez Raptors, a Carter z piątką przez Warriors. Zanim jednak zawodnicy zdążyli

założyć czapeczki z logo swojego nowego klubu, menedżerowie generalni obydwu drużyn zawarli umowę, na mocy której jeszcze tego samego dnia graczy wymieniono – VC został wytransferowany do Toronto, a Antawn musiał pakować walizki i jechać do San Francisco. Szybka zamiana czapek, uściśnięcie dłoni komisarza ligi Davida Sterna, chwila dla fotoreporterów i każdy z nich już myślał o tym, gdzie będzie grał.

Dlaczego Dinozaury od razu nie sięgnęły po Cartera? Dobre pytanie, na które odpowiedź jest tylko jedna – ekipa z Toronto zwiertżyła szansę na dobry interes, wybierając Jamisona, wymieniając go na Vince'a i zyskując dodatkowo pokąźną sumę gotówki. Po latach pisano w mediach sportowych w USA o tym Drafcie w kontekście tego, że Kanadyjczycy zrobili wówczas najlepszy deal transferowy lata, a Golden State dała się nieco oszukać, bo „Jam” nigdy nie wspiął się na poziom swojego kolegi z uczelni Północnej Karoliny. Tamtego dnia jednak wszyscy byli zadowoleni z transakcji i zapowiadało się na to, że kolejny sezon w NBA będzie niezwykle ciekawy, tym bardziej, że Vince miał zagrać w jednej drużynie ze swoim krewnym – Tracym McGradym.

I wtedy właśnie zdarzyło się coś, o czym wszyscy głośno mówili, ale nie wierzyli w to, że się ziści. Rozgrywki NBA zostały zawieszono – ogłoszono lockout<sup>12</sup>, co było jednoznaczne z tym, że Vince Carter musiał trochę poczekać na swój oficjalny debiut w lidze. Taki stan rzeczy trwał od lipca 1998 roku aż do lutego 1999 roku, gdy obie strony doszły do porozumienia, dzieląc finansowy tort zgodnie ze swoimi postulatami. Regularny sezon został skrócony z 82 do 50 spotkań, a w związku z napiętym terminarzem zrezygnowano z organizacji Meczu Gwiazd.

---

<sup>12</sup> Zawieszenie rozgrywek NBA z powodu nieporozumień na linii Zawodowy Związek Koszykarzy – właściciele klubów. Chodziło o procentowy udział w podziale wpływów finansowych pomiędzy zawodnikami a klubami.

W tym momencie, drogi czytelniku, zmienia się styl opowieści o jednym z najbardziej efektownych graczy, jacy kiedykolwiek pojawili się w NBA. Długo zastanawiałem się nad koncepcją tego, jak poprowadzić narrację tej książki do momentu debiutu VC w NBA. Jego młodzieńcze lata, występy w szkolnych i uczelnianych drużynach, budowanie swojej marki na Florydzie, a później w Północnej Karolinie są czymś, czego z oczywistych powodów nie mogłem pominąć. Wielu kibiców nie do końca miało pojęcie, jak wyglądała droga Cartera do NBA. Większość pamięta za to doskonale jego popisy, kiedy już dostał się do ligi. Nie chcę Was jednak zbytnio zanudzić opisywaniem kolejnych sezonów mecz po meczu, bo te wszystkie informacje spokojnie możecie dziś znaleźć w sieci, okraszone dodatkowo różnorakimi statystykami, których przepisywanie mijają się z celem.

Jako kibic koszykówki miałem to szczęście, że byłem „świadkiem” całej kariery Cartera w NBA – od pierwszego rzutu w 1999 roku, przez zapierające dech w piersiach wsady i wjazdy pod kosz, aż po jego last shot w 2020 roku. Dlatego uznałem, że lepszą i być może ciekawszą formą będzie przedstawienie wam jego przygody z najlepszą koszykarską ligą świata z pozycji fana, który oglądał to wszystko – podobnie zapewne jak większość z was – z perspektywy polskiego podwórka, naszych realiów i czasów, w których to miało miejsce. Nie opiszę wam zatem wszystkiego ładnie od „a” do „z”, a wybiorę najlepsze momenty jego kariery i pokażę to z mojego punktu widzenia. Postaram się przedstawić to wszystko tak, jak ja to wtedy widziałem i jak cała „enbijejowa” Polska postrzegała człowieka, o którym dziś mówimy „Air Canada” lub „Half-Man, Half-Amazing”.

Będzie to zatem wyprawa nie tylko do świata NBA, lecz także do czasów, w których dorastałem, oglądając NBA, grając w kosza na szkolnych i osiedlowych boiskach asfaltowych,

naśladować najlepsze zagrania graczy z telewizora, zbierając kultowe gazety, plakaty, karty, koszulki i wszystkie inne gadżety, które wtedy można było u nas dostać. Mam szczerą nadzieję, że obudzę Wasze wspomnienia związane z boomem na NBA w latach 90. i to, jak wszyscy fascynowaliśmy się kosmicznym basketem zza oceanu. Jeśli nie macie nic przeciwko i dotrwalicie do tego momentu, to wierzę, że nie odłożycie teraz książki, tylko rozsiądziecie się wygodnie w fotelu, zaparzycie sobie dobrą kawę lub herbatę i resztę tej historii „wciągniecie nosem”. W takim razie, nie przedłużając, zapraszam do NBA, jaką ja pamiętam i Kocham!





# ROZDZIAŁ II

**Rookie Season: narodziny legendy**







## BOSTON, CELTICS VS. RAPTORS, LUTY 1999

Był luty 1999 roku i trwały ferie zimowe. Nie dało się grać w kosza pod chmurką, bo w moim rodzinnym Ostrowcu Świętokrzyskim panowała solidna zima – wszystkie asfaltowe boiska były zavalone śnieżnymi zaspami. W przerwach od zjeżdżania na sankach z okolicznych pagórków chowaliśmy się z kolegami pod dachem sali gimnastycznej naszej podstawówki numer 5, by pograć w kosza w ramach SKS<sup>13</sup>. Mieliśmy po 16 lat, prawie każdy z nas był ślepo zapatrzony w mityczną postać Michaela Jordana, ale mieliśmy też innych koszykarskich idoli. Ja miałem swoją wielką trójcę: Allena Iversona, Vince'a Cartera oraz Kobe Bryanta, choć podobała mi się również gra duetu Gary Payton i Shawn Kemp. Podziwiałem także Patricka Ewinga i New York Knicks, trzymałem kciuki za Scottiego Pippena, Shaquill'e'a O'Neala czy Charlesa Barkleya. Muszę koniecznie dodać, że Latrell Sprewell i jego słynne „plecaki” też mocno działały wtedy na moją wyobraźnię. Najbardziej jednak byłem zafascynowany Iversonem, dopóki w NBA nie pojawił się „Air Canada”...

Kiedy w polskich kinach królował film *Kiler-ów 2-ch* oraz *Ogniem i mieczem* Jerzego Hoffmana, a na ekranach telewizorów zadebiutowały seriale *Rodzina zastępcza* i *Świat według Kiepskich*, my szykowaliśmy się do powrotu do szkoły po

<sup>13</sup> Szkolny Klub Sportowy – pozalekcyjne zajęcia sportowe z różnych dyscyplin dla uczniów szkół podstawowych i średnich. Często jedyna opcja, aby pograć na parkiecie zgodnie z przepisami oraz z sędziującym treningi wuefistą.

dwutygodniowej feryjnej beztriosce. W wiadomościach sportowych w telewizji usłyszałem, że nie tylko ferie się skończyły, lecz także lockout w NBA i liga wraca do grania. Ależ to była wtedy informacja dla mnie i moich kumpli! Znów mogliśmy podziwiać swoich ulubieńców w akcji, a poza tym była szansa przyrzec się nowym zawodnikom, którzy zostali wybrani w Drafcie latem '98. Choć prawie nikt z nas nie miał w domu internetu, to dzięki gazetom „Magic Basketball” i „ProBasket” mieliśmy jakąś tam wiedzę na temat tego, kim właściwie jest Vince Carter i co potrafi. Przeglądanie kolorowych zdjęć w czasopiśmie to jedno, ale zobaczenie go w meczu to zupełnie inna bajka.

Dokładnie 5 lutego Toronto Raptors, których strojami z dinozaurom byliśmy zauroczeni, udali się na mecz wyjazdowy do Bostonu. Nie udało się zobaczyć spotkania na żywo, lecz w weekend zebraliśmy się całą paczką u mnie i odtworzyliśmy sobie pojedynek z Celtics. W czasie prezentacji składów po raz pierwszy dało się słyszeć nasze głośne „och” i „ach”, kiedy okazało się, że Vince Carter zagra w wyjściowej piątce. Obok niego na parkiet wybiegli Kevin Willis, Doug Christie, Alvin Williams i Charles Oakley. W ekipie z Bostonu też były wtedy mocne nazwiska: Antoine Walker, Paul Pierce, Ron Mercer czy Kenny Anderson. Zapowiadało się niezłe widowisko. Specjalnie nawet nie sprawdzaliśmy wyniku na 265 stronie Telegazety, żeby nie psuć sobie zabawy. Każdy z nas zajął miejsce na podłodze, jak najbliżej telewizora, żeby wszystko dobrze widzieć, i zaczęliśmy nasz seans.

Oglądając w tamtych czasach mnóstwo meczów piłkarskich, wyrobiłem sobie pewien sposób śledzenia spotkań, wybierając na przykład jednego piłkarza, na którego bacznie zwracałem uwagę przez 90 minut. Patrzyłem, jak się ustawia na boisku, w jakich strefach się porusza, w jaki sposób zagrywa piłkę, kiedy decyduje się na strzał, a kiedy na podanie, jak często traci i odyskuje piłkę i tak dalej. Swoją manię przenieśliśmy też mimowolnie

na parkiety NBA i nie inaczej było podczas wspomnianego wyżej meczu z Celtics. Od pierwszego gwizdka sędziego skupiłem niemal całą swoją uwagę tylko na Carterze. Wiedziałem, że potrafi latać, i spodziewałem się, że od początku pokaże nam co nieco ze swojego repertuaru wsadów. Ale... na starcie VC sfaulował Paula Pierce'a przy próbie jego wejścia pod kosz. Widać było na zbliżeniach, że Carter jest zestresowany debiutem. Chwilę później oddał swój pierwszy celny rzut na parkietach NBA – to był klasyczny fadeaway<sup>14</sup> w jego wykonaniu poprzedzony podaniem Oakleya za plecami. Vince złapał piłkę, obrócił się z rywalem na plecach i oddał rzut, jaki doskonale znaliśmy z czasów MJ-a. Bang! Trafił czysto i miał na swoim koncie pierwsze punkty. „Byłem podekscytowany swoim pierwszym meczem, nie ma co ukrywać. Chciałem wyjść na boisko i pokazać się z jak najlepszej strony, a przy okazji niczego nie zepsuć. To już nie była zabawa, tylko poważna sprawa. Otaczało mnie wielu świetnych graczy, którzy patrzyli, jak poradzi sobie młokos, czy nie zeżre go trema, czy będzie pudłował, czy będzie miał nogi «z waty», czy może od początku pokaże wszystkim na co go stać. Chciałem grać twardo i sprawić, by moja gra mówiła za mnie” – wspominał po latach w wywiadzie dla [www.nba.com](http://www.nba.com).

W kolejnych akcjach zdobył punkty w zamieszaniu pod koszem, wjechał kilka razy od linii końcowej i trafił parę rzutów wolnych. Z każdą minutą spędzoną na parkiecie przybywało mu pewności siebie i decydował się na bardziej odważne zagrania. W czwartej kwarcie pokazał też, że nie najgorzej broni, wymuszając szarżę w ataku na starym wyjadaczu, jakim był Bruce Bowen – jego mina po gwizdku arbitra była bezcenna. Pod koniec meczu przy prowadzeniu Raptors 99-87 Vince wreszcie pofrunął. Kontrę wyprowadził Oakley i kiedy zobaczył, kto biegnie po jego prawej stronie, nie zastanawiał się ani chwili – rzucił loba nad kosz, a tam już Carter zrobił swoje, kończąc atak efektywnym

<sup>14</sup> Rzut z odchyleniem do tyłu, aby obrońca nie mógł go zablokować.

wsadem. Próbujący bronić w tej akcji Mercer mógł tylko patrzeć, co się dzieje ponad jego głową. „Oak” przybił piątkę z VC i uściślał młodziana. Widać było, że między nimi jest dobra chemia, a weteran wziął pod skrzydła nieopierzonego lotnika i starał mu się pomagać w czasie jego debiutu. Ostatecznie tamtego dnia Raptors pokonali Celtics w ich hali 103-92, a Vince Carter w ciągu 31 minut gry zapisał na swoim koncie 16 punktów, 3 zbiórki, 2 asysty, 2 przechwyty, 1 blok i 1 stratę.

Kiedy skończyliście oglądać mecz z kolegami, powiedziałem do nich: „On się dopiero rozkręca. Debiut uważam za udany, ale w kolejnych jego występach zobaczymy jeszcze więcej”. Nikt nie zaprzeczył, wszyscy mi przytaknęli.

Po obiedzie spotkaliśmy się u kumpla, żeby ponaparzać na pececie w NBA Live '99. Choć nie było jeszcze w grze Cartera (pojawił się dopiero rok później), to i tak wybierałem Toronto Raptors, wyobrażając sobie, że mam go w składzie. Tak właśnie narodziła się moja sympatia do zawodnika, który 20 lat później jest już żywą legendą NBA. Wtedy mój pokój, a konkretnie jego ściany zaczęły zmieniać swój wygląd – zniknęły plakaty Jordana i Bulls, które zostały wyparte przez postery AI, VC i młodziutkiego Kobe.

Pamiętam, że tamtego dnia przed snem słuchałem radia i leciał taki kawałek zespołu Vengaboys z bardzo prostym refrenem, który brzmiał: „Boom, boom, boom, boom...”. Zaraz potem były wiadomości, pogoda i sport. Głos z kaseciaka przypomniał, że liga NBA wznowiła rozgrywki i nowa ekipa z Kanady – Toronto Raptors – wygrała swój mecz, w którym udanie zadebiutował Vince Carter zapowiadany przez media jako ktoś, kto ma wypełnić lukę po Michaelu Jordanie. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że słusznie oceniłem jego umiejętności, i obiecałem sobie, że jeśli tylko będzie taka możliwość, nie opuszczę żadnego meczu z jego udziałem. A to w tamtych czasach graniczyło z cudem...



## TORONTO, RAPTORS VS. BUCKS, LUTY 1999

W swoim trzecim meczu w NBA Carter poszedł o krok dalej. Ten mecz widziałem już „na żywo”, a nie z odtworzenia. Bardzo dziękowałem wtedy mojemu tacie, że mamy kablówkę. W niemieckiej stacji DSF, którą zapewne doskonale kojarzycie, można było zobaczyć nie tylko piłkę nożną, lecz także solidną porcję meczów NBA. Zawsze z tatą oglądałem magazyn *LaOla*<sup>15</sup>, a potem on oglądał ze mną koszykówkę.

Mecz, który Raptors grali u siebie 9 lutego 1999 roku z Milwaukee Bucks, obejrzałem od deski do deski, nawet reklam nie opuściłem. Migawki z początku transmisji pokazywały trybuny hali w Toronto, które zapełniały się jak na filmikach z przyspieszonym tempem. Ludzie chcieli się wyluzować, chcieli zobaczyć Vince'a w akcji na żywo i popatrzeć na gościa, który w powietrzu zamieniał się w koszykarskiego malarza. On zapewniał ludziom rozrywkę i dawał im poczuć swoje emocje, które napędzały go do coraz lepszej gry. Czuł przy tym wsparcie na każdym kroku, gdziekolwiek się nie ruszył. To było widać w jego grze.

W meczu z Bucks Vince Carter pokazał się z nieco innej strony – strzelca. Nie szukał na siłę wjazdów w pomalowane, żeby efektownie zapakować piłkę, tylko... wycofał się na półdystans. Uciekał do skrzydeł i oddawał błyskawiczne rzuty z wysokości. Trafiał. Gdy udało mu się zgubić krycie wcześniej, to próbował wyjść na obwód i zagrozić trójką. Wam też to przypomina styl gry Raya Allena? Tego dnia to jednak nie „Sugar Ray” był bohaterem, choć rzucił 17 oczek i jego

---

<sup>15</sup> Skróty piłkarskich meczów w ligach zagranicznych, podobnie jak obecnie u nas w Canal+.

drużyna wygrała 91-77. Mimo porażki kanadyjskiej ekipy na swoim terenie więcej mówiło się o zawodniku z numerem 15 niż 34 na koszulce.

Vince Carter w tym spotkaniu złapał luz. Grał tak, jak najbardziej lubił, i robił to, co najlepiej potrafił oprócz wsadów. Był zagrożeniem dla rywala niemal z każdego miejsca na parkiecie. Wszyscy spodziewali się jego szalonych lotów, a tu proszę – zaskoczenie! VC na półdystansie poradził sobie całkiem przyzwoicie – trafił 9 na 13 rzutów z gry i dorzucił cztery z wolnych, co dało liczbę 22 punktów. Do tego dodał jeszcze 3 zbiórki, 2 asysty, 2 bloki. Całkiem niezłe, jak na debiutanta.

Pamiętam dobrze moment, gdy w trzeciej kwarcie poszybował w górę. Zapakował nad głowę Glenna Robinsona, unikając jeszcze bloku Tyrone'a Hilla. W powtórcie dopiero dostrzegłem, że Allen „podziwiał” wszystko z tyłu. Miał minę w stylu: „Noooo... to było dobre, wow!”. Ja nawet cmoknąłem wtedy na głos, zachwycając się jego akcją. Mój tata, który zdecydowanie bardziej był zwolennikiem piłki nożnej niż koszykówki, podrapał się po głowie i zapytał: „Jak on to zrobił?!”. Powiedziałem, że to Vince Carter i nie takie jeszcze rzeczy potrafi, że to taki Roberto Baggio koszykówki – po prostu z wielką przyjemnością patrzy się na jego grę, bo ma to „coś”, ten błysk geniuszu, który każe obserwować jego zagrania bez mrugnienia okiem i bez łapania oddechu.

Kilka dni później tata wszedł do mojego pokoju sprawdzić, czy odrobiłem lekcje i czy jestem gotowy na klasówkę z historii. Zanim jednak zdążyłem mu cokolwiek odpowiedzieć, popatrzył na plakaty naklejone na ścianach przezroczystą taśmą na tapetę Michaela Jacksona... Było tam między innymi kilka posterów Cartera, jakiś Jordan jeszcze, Iverson vs. MJ, Kobe ze Slam Dunk Contest, Kemp i Payton, i inne...

Dłużej zatrzymał wzrok na plakacie, na którym Vince szymbował do kosza z potężnym „tomahawkim”<sup>16</sup>, wyprostowany jak struna, w fioletowym stroju Raptors, z czarnymi pumami na nogach. „Zrobiłeś lekcje?” – usłyszałem. „Tak, tato, do klasówki też mnie możesz przepytac” – odparłem. „Dobra, to najpierw mi opowiedz o tym Carterze, a potem cię przepytam”. Gadałem o nim chyba z godzinę, zrobiło się późno, ale tata wcale nie miał dość. Przypominałem mu kilka razy, że jeszcze historia, że miał mnie sprawdzić, że jutro klasówka... Powiedział, że woli słuchać moich historii o NBA, niż o manewrach morskich podczas bitwy o Narvik, o których i tak wiedział zdecydowanie więcej ode mnie. Złapał się wówczas zupełnie nowy wymiar relacji pomiędzy ojcem a synem, poczułem się ważny, bo tata zainteresował się czymś, co wtedy było bardzo ważne dla mnie. Taka mała satysfakcja, że ja jako młokos mogę czymś zainteresować swojego rodzica i opowiedzieć mu o tym, co mnie fascynuje. Takich rzeczy nie da się kupić za żadne skarby. To jest coś, co w jakiś sposób definiuje relacje ojca z synem; coś, co sprawia, że syn czuje się jak partner do rozmowy, nie jest tylko dzieckiem.

To, że zaszczepiłem mojemu tacie sympatię do koszykówki, meczów NBA i niektórych zawodników, poczytuję sobie do dziś za swoją wielką zasługę. Jeszcze jakiś czas przed jego śmiercią, kiedy rozmawialiśmy we dwóch o sporcie, siedząc przed domem we włoskiej Ravennie, pytał mnie o Cartera – co się z nim dzieje, czy jeszcze gra. To było w 2014 roku. Gdyby mój tata żył i wiedział, że VC grał aż do 2020 roku, to pewnie też cmoknęłyby z zachwytu. Tak jak ja wtedy po jego dunku z Bucks.

---

<sup>16</sup> Tomahawk jam – ekspresyjny wsad piłki do kosza przypominający rzut tomahawkim z zamachu jedną ręką.



Kiedy Ameryka żyła aferą Moniki Lewinsky, firma Google była jeszcze w powijakach, a numerem jeden na listach przebojów był kawałek *Baby One More Time* Britney Spears, to Vince Carter w 1999 roku zgarniał nagrodę Rookie of The Year.

Wicie, czego jeszcze nie było na świecie, kiedy Carter objawił się fanom koszykówki? Nie mogliśmy korzystać z WiFi, technologia GPS miała zostać oddana do użytku ogółu dopiero w 2000 roku, a sieć Xbox Live była dopiero w sferze marzeń.

Krótko mówiąc, życie bardzo się zmieniło, odkąd „Air Canada” pojawił się na scenie NBA. W lipcu 2020 roku liga wróciła do gry po pandemii Covid-19, ale już bez niego. Swój ostatni mecz zagrał 11 marca 2020 roku jako zawodnik Atlanta Hawks. Po raz ostatni pojawił się na boisku kilkanaście sekund przed końcem meczu, wywołany przez publikę. Kiedy wszedł, piłka powędrowała do

niego. Odpalił trójkę i... trafił! Jeszcze wtedy nie wiedział, że to będzie jego *last dance*...

„Air Canada” zachwycał swoimi popisami w powietrzu od 1998 roku

i grał w NBA przez 22 sezony - żaden inny gracz w historii tego nie dokonał. Mogę się nazwać szczęściarzem, ponieważ widziałem całą jego karierę i tego nikt mi nie zabierze. Dlatego zdecydowałem się Wam opowiedzieć o nim z perspektywy polskiego fana NBA, który wychował się na koszykowiec lat '90.

„Rzadko zdarzało mi się, że zachwycałem się grą jakiegoś zawodnika w NBA. Jednak to, co wyprawiał czasem na parkietach Vince Carter, to była czysta przyjemność do oglądania. Momentami miałem tak, że myślałem sobie: «Cholera, on jest niesamowity! Robi to lepiej ode mnie!».”

~Michael Jordan~

„Niesamowity gość! Moje pojedynki strzeleckie z nim to była czysta przyjemność. Grałem z nim w jednej drużynie podczas Meczów Gwiazd, oglądałem mecze z jego udziałem i uwielbiałem z nim rywalizować. Dla mnie kawał koszykarza, świętego dunkera i bardzo pozytywnego człowieka poza parkietem. Vince Carter to facet, który stał się legendą NBA i nic tego nie zmieni!”

~Allen Iverson~

„Dziwnie się czuję, tży same napływają do oczu, serce wali jak oszalałe... To była wspaniała podróż, która trwała ponad 20 lat, to coś niesamowitego, że mogłem być w NBA aż tak długo. Pewnie już więcej nie zagram, dlatego chciałbym podziękować moim fanom, że byli z mną przez te wszystkie lata. Kocham Was!”

~Vince Carter~



ISBN 978-83-67246-00-2



9 788367 246002

PATRONAT MEDIALNY:



Sportowa Książka Roku



OPO WIEŚCI Z NBA

